

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/369

1978



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

SOCJUSZ : ILE JEST DRÓG ?

**O. L. WIŚNIEWSKI, O. P. : CHRZEŚCIJANIE WOBEC
WALKI O SPRAWIEDLIWOŚĆ**

ZB. BYRSKI : STRATEGIA AFRYKAŃSKA SOWIETÓW

KATOLICY W Z. S. S. R.

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Mieczysław Chmura, Hamden, Conn. (USA)	F. 11,50
Dr G. S. Dobrucki, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz trzynasty	F. 61,00
Jerzy i Andrzej Duraczowie, Kungsängen (Szwecja) — w trzecią rocznicę śmierci Anny Duracz, zamiast kwiatów na Jej grób	F. 300,00
Eugeniusz Fedorowicz, Islington, Ont. (Kanada)	F. 20,00
Inż. N. J. J. Gawronski, Amsterdam, po raz drugi	F. 75,95
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz trzeci	F. 100,00
Henryk Komeza, Trondheim (Norwegia), po raz trzeci	F. 40,00
Alina Komornicka, Londyn — pamięci Stefana Komornickiego w 3-cią rocznicę Jego śmierci	F. 88,00
Halina Kościuch, Detroit, Mich. (USA), po raz dziewiąty	F. 92,00
K. J. Logay, Sarasota, Fla (USA), po raz piąty	F. 46,00
Tadeusz Lisicki, Charleston, S.C. (USA)	F. 152,00
Adam Nasielski, Cooma North, N.S.W. (Australia), po raz szósty	F. 500,00
François Prause, Paryż, po raz szesnasty	F. 100,00
Irena i Andrzej Ruszkowscy, Ottawa — dla uczczenia pamięci śp. dr. Zdzisława Szymońskiego, zmarłego 5. 4. br. w Aiken, S.C. (USA)	F. 59,38
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada), po raz czterdziesty piąty	F. 40,00
Juliusz S. Stankiewicz, Trenton, N.J. (USA), po raz trzynasty	F. 69,00
Inż. Zbigniew Szpikowski, Willowdale, Ont. (Kanada), po raz osiemnasty	F. 46,00
Gabriela M. Knobelsdorff, Clearwater, Fla. (USA) — na intencję rocznicy śmierci śp. Męża, Władysława	F. 27,60
Bezimiennie z Montrealu — po raz dziesiąty	F. 61,00
Bezimiennie z Teheranu, po raz drugi	F. 110,00
Bezimiennie z Winnipegu (Kanada)	F. 18,30
Tadeusz Brzostek, Paryż — na rzecz opozycji w Polsce	F. 100,00
Adam Zalewski, Sztokholm — 4-ta miesięczna wpłata na pomoc dla opozycji w Kraju	F. 50,00
Anonimowo (Rawensburg, RFN) na pomoc dla opozycji w Polsce	F. 222,49
Bezimiennie z Chicago, Ill. (USA) na rzecz opozycji w Polsce	F. 276,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KSS „KOR”

J. K. Borowski, Johannesburg	F. 52,25
Bezimiennie z Johannesburga	F. 52,25
Bezimiennie z Kopenhagi	F. 25,00
Bezimiennie z Teheranu	F. 110,00
Piotr Kalinowski, Paryż	F. 100,00
Michał Klobukowski, Casablanca (Maroc)	F. 400,00
K. M. H., New York, N.Y.	F. 97,00
A. Królikowska, Johannesburg	F. 36,50
I. Pyziak, Clifton, N.Y. (USA)	F. 46,00
Stanley Sitarek, Seattle, Wa. (USA)	F. 36,80
S. Stachelski, Johannesburg	F. 156,75
Roman Tarnawski, Angered (Szwecja)	F. 50,00
J. Wallas, Johannesburg	F. 52,25
Stanisław Wójcik, Plattsburgh, N.Y. (USA)	F. 115,00

(Dalszy ciąg na str. 160)

Imprimé en France

Ile jest dróg ?

*Przypadek sprzyja tylko ludziom przygotowanym.
(Pasteur)*

Niełatwo jest odpowiedzieć na pytanie, jaka jest naprawdę rozpiętość wachlarza niezależnej polskiej myśli politycznej w kraju i na emigracji. Większość wydawnictw emigracyjnych jest w Polsce bardzo trudno dostępna lub nieosiągalna; to, co do nas dociera, zdumiewa często zaciekłością prywaty i przestarzałymi kategoriami myślenia. Jak się zdaje, za granicą wiedza o tym, co się w kraju myśli i robi, bywa mętna i układana według muzealnych formułek; ale i my sami, tyle lat pozbawieni swobody wypowiedzi, podejrzliwie obwąchujemy się wzajemnie w tej szarej mgłę niewiedzy, która zalega kraj. Zaryzykuję twierdzenie, że wachlarz ów jest zarazem i węższy i szerszy, niż się zdaje. Naprawdę jest węższy w dziedzinie świadomości wyznawanych i głoszonych idei; mylne wrażenie rozpiętości powoduje fakt, że personalne spory i tradycyjne zawiści skłaniają do wyolbrzymiania różnic w poglądach. Szerszy jest natomiast w dziedzinie spontanicznych, nie artykułowanych postaw; skrajne poglądy pozostają nie ujawnione, czy to z obawy przed zgorszeniem, czy z nieumiejętności uświadomienia sobie konsekwencji własnego stanowiska emocjonalnego.

Pod jednym względem panuje zgoda: wszyscy deklarują się jako wielbicieli Kościoła katolickiego i jego roli polityczno-kulturowej w Polsce. Ogromny to komplement dla episkopatu, ale i niepokojący: oto sygnał, że różne ugrupowania będą się starały wykorzystywać autorytet Kościoła dla swoich rzadko religijnych celów. Już słyszeć licytacje, kto lepiej rozumie intencje Prymasa; niesmaczne to i niechrześcijańskie uzurpowanie sobie firmy kato-

licyzmu dla partykularnych, choćby i „narodowych”, celów. Przykład Włoch, gdzie ani chrześcijańskiej demokracji ani Kościołowi nie wyszła na zdrowie wzajemna bliskość polityczna, powinien działać ostrzegawczo. Wszyscy są też przeciwko cenzurze i brakowi swobód obywatelskich, ale agresywność i metody, stosowane nieraz w emigracyjnych dyskusjach, każą oddychać z ulgą, że ci panowie są od nas tak daleko: dopiero by nam przysolili, rezydując w KC lub na Mysiej.

Potrzeba szukania i utwierdzania tego, co łączy nas wszystkich, Polaków-patriotów, nie pogodzonych z dzisiejszym brakiem niepodległości i dyktaturą partyjnych kacyków, zdaje się być zupełnie oczywista. Przeciwnicy nasi są tak silni, tyle mają do rozporządzenia środków przemocy i dezinformacji, że tylko scalanie wysiłków i maksymalna solidarność zbiorowa dają szanse częściowego choćby powodzenia w oporze i dążeniu do realizacji naszych celów. Wobec braku niepodległości swobód obywatelskich, wobec potrzeby ciągłej pracy nad zmianą tego stanu rzeczy — różnice w szczegółach powinny zejść na drugi plan. Tak też jest przeważnie w codziennej krajowej rzeczywistości, w codziennym działaniu środowisk i ugrupowań, prowadzących robotę samokształceniową, broniących praw ludzkich, przeciwstawiających się cenzurze, ośmieszaniu i sowietyzacji. Do ludzi, zaprzątynych konkretną robotą, słabo przemawiają mniej lub bardziej wydumane spory teoretyków: wspólnota losu i dążeń zapobiega sekciarstwu. Sądzę, że praktyczna bezczynność emigracji, brak narzucanego przez starcie z rzeczywistością poczucia odpowiedzialności, wpływają na ową przedziwną manię węszenia herezji, na owo starczo-doktrynerskie zaciętrzewienie, którego piskliwe echa dochodzą czasem do kraju. Pożyteczne nawet, że dochodzą, bo działają ostrzegawczo.

Czy więc nie należy precyzować własnych stanowisk, stwierdzać różnic i prowadzić dyskusji na temat treści wyznawanych poglądów i wysuwanych programów? Owszem — ale nie po to, aby podkreślać kontrasty, ale aby szukać podobieństw; nie aby dzielić i odsuwać, ale aby łączyć i zbliżać. Nie widać np. powodu, aby hasła samorządności społecznej i pluralizmu politycznego traktować jako przeciwstawne albo choćby konkurencyjne — jak to podobno czynią niektórzy przywódcy KSS-KOR'u i ROPCiO (wedle sprawozdania francuskiego publicysty M. Thierry, który być może konflikt przesadnie zaotrzył). Nie jest też przykładem do naśladowania dyskusja z Leszkiem Moczulskim, podjęta przez Jacka Kuronia w tekście „Zasady ideowe”*.

* Tekst ten zawiera m.in. dwie bardzo cenne i godne przemyślenia wypowiedzi: o niebezpieczeństwie nadmiernej radykalizacji ruchu opozycyjnego pod wpływem „zawodowców”, ludzi marginesu, którzy nie mają nic

Rozróżnienie przez Moczulskiego (w artykule w *Opinii*) trzech tendencji ideowych — liberalnej, niepodległościowej i nacjonalistycznej — wśród opozycjonistów polskich da się od biedy potraktować jako powodowane chęcią uwypuklenia różnic, ale nie jest to wcale interpretacja przez tekst narzucana. Przeciwnie, autor jak gdyby celowo różnice łagodził; bo też można te nurty widzieć jako uzupełniające się wzajemnie. Sam Moczulski jest zwolennikiem tendencji niepodległościowej, która „wybija na plan pierwszy funkcje państwa narodowego jako formy zorganizowania świadomego swych celów społeczeństwa”. Można się tutaj doszukiwać wyrazu skłonności dyscyplinarnych; można się obawiać, że dobro państwa będzie zbyt silnie przeciwstawiane dobru jego obywateli. Można, ale nie wiem, czy należy — bo owa skłonność nie rysuje się wyraźnie, a w chwili obecnej ryzyko jest dosyć księżycowe. Jeśli przyjmiemy za dobrą monetę stwierdzenie Moczulskiego, że jest pluralistycznym demokratą, tj. że kształt państwa pozostawia swobodnie wyrażonej woli obywateli — to jego bardzo przecież ogólnikowa formuła nie znaczy nic ponadto, że uważa on niezależność państwową za niezbędny warunek naturalnego życia społeczeństwa.

Niektórzy twierdzą, że w praktycznym postępowaniu Moczulskiego ujawniają się istotnie owe niebezpieczne skłonności autorytarne. Możliwe. Jednakże Kuroń podjął dyskusję na temat pryncypiów, nie postępowania, i zasadzie Moczulskiego przeciwstawił własną: „nadrzędną wartością jest dla mnie dobro, suwerenność i twórczość każdego człowieka”. Bardzo to wieloznaczna deklaracja, na którą łatwo by zareplikować, że tylko w ramach niezależnego państwa narodowego ta nadrzędna wartość daje się realizować. I chociaż Kuroń myśl swoją rozwija dość obszernie, nasze wątpliwości jak rozumieć te górnotłone ogólniki nie mijają. „Jednak w przeciwieństwie do tradycji liberalnej... chcę ujmować człowieka w całokształcie jego dążeń, a przede wszystkim we wspólnotach, w których i dzięki którym żyje: w narodzie, w środowisku, rodzinie”. Z jednej więc strony wypowiada się przeciwko podporządkowaniu jednostki wspólnocie, z drugiej ujmuje

do stracenia; oraz o odpowiedzialności moralnej polskiej lewicy za PRL. Przy tej drugiej myśli trzeba jednak zaprotestować: bynajmniej nie cała polska lewica jest za tę rzeczywistość odpowiedzialna. Nie wolno grzechami komunistów i ich sprzymierzeńców obciążać Pużaka czy Żuławskiego i tysięcy członków PPS, prześladowanych i często pomordowanych już w latach czterdziestych. To bardzo pięknie, że Kuroń w imieniu innych byłych członków partii poczuwa się do odpowiedzialności za system, przeciwko któremu od tyłu lat bohatersko walczy — ale nie powinien zapominać, że większość przedwojennych socjalistów i ludowców polskich nie przeżywała okresu złudzeń co do tego systemu.

człowieka jako składnik wspólnoty — i, rzecz dziwna, nie zdaje się dostrzegać w tym trudności.

W świetle innych wypowiedzi teoretycznych Kuronia jego stanowisko ideologiczne można tu interpretować na trzy sposoby: 1. jako wyraz wiary w bezkonfliktową dobroć człowieka; 2. jako echo poglądów współczesnej radykalnej lewicy niekomunistycznej; 3. jako przejaw taktyki politycznej na dziś.

1. Jan Strzelecki rozprawiał kiedyś o naiwnych wizjach „ustroju bez pokus”: takiego układu stosunków międzyludzkich, z którego znikają wszystkie konflikty. Doświadczenie historyczne wskazuje, że jest to wizja całkowicie utopijna. Jeżeli Kuroń jest istotnie przekonany, że możliwe jest zbudowanie społeczeństwa, którego wszyscy członkowie będą „realizować całokształt swoich dążeń” i to zarówno indywidualnych jak zbiorowych — to można się wzruszyć dobroduszością jego poglądów na człowieka, ale trzeba powiedzieć, że są to opinie politycznie ryzykowne. Nie dlatego, że słychać w nich pogłos dawnych utopii komunistycznych, ale dlatego, że ich naiwność musi doprowadzić do gwałtownego wstrząsu rozczarowania. Dążenia ludzkie tak często bywają sprzeczne, zaś „dobro, suwerenność i twórczość” człowieka tak rozmaicie pojmowane, że niezbędne jest założenie mechanizmów kontrolujących i ograniczających spontaniczność. Lepiej z góry o tych koniecznościach pamiętać, niż potem stwierdzać z przykrością (jak bohaterowie Żeromskiego w *Przedwiośnie*), że i w niepodległym państwie potrzebna jest policja i że „dobre” współżycie ludzi ze sobą polega raczej na wzajemnych ustępstwach, dopasowaniu i rezygnacji niż na „suwerenności i twórczości”. I jako przestrożę trzeba autorowi „Zasad ideowych” przypomnieć, że skrajny optymizm w widzeniu natury człowieka i możliwości jego twórczego rozwoju dawał dotychczas w rezultacie krwawe dyktatury w imieniu... „prawdziwej” ludzkiej dobroci.

2. Wymowne poparcie, udzielane Kuroniowi przez paryski dziennik niekomunistycznej radykalnej lewicy *Libération* i przytoczone tam przez Michela Thierry jego wypowiedzi sugerują, że hasła „samorządności” i „autonomii społecznej” wywodzą się u przywódcy Ruchu Demokratycznego z jego dawnych lewicowych tradycji i łączą się z analogicznymi hasłami, wysuwanymi przez europejską „młodą” lewicę. Występuje ona przeciwko wadom tradycyjnych systemów reprezentacji politycznej (łącznie z demokracją parlamentarną) i głosi potrzebę autentycznego współdecydowania mas pracujących o losach państwa. Praktyka pokazuje wszakże, iż samorządy pracownicze zdają egzamin ekonomiczny i polityczny tylko w warunkach wielkiego poszanowania prawa, ogólnonarodowego poczucia solidarności i współodpowie-

dzialności społecznej. Tam, gdzie następuje przejście od autokracji do swobód demokratycznych (Portugalia, Hiszpania) po krótkim okresie euforii problemem numer jeden staje się ostry spadek wydajności pracy połączony ze wzrostem żądań gospodarczych ze strony robotników i chłopów. Nie ludźmy się: chociaż to ustrój jest u nas przyczyną znacznej części zła, skutki ustroju nie znikną wraz z jego zmianą. Stworzy się jedynie możliwość ich likwidacji. Niepodległość to dopiero warunek, nie gwarancja rozwiązania trudności. Będzie to jednak proces długotrwały i bolesny, bo ani moralność zawodowa ani poczucie współodpowiedzialności za całość społeczeństwa nie dadzą się odbudować bez zabiegów wychowawczych, a ludzie, którzy przyzwyczaili się do pobierania pensji „czy się stoi, czy się leży”, nie będą skłonni pracować dla idei. Przykład Jugosławii wykazuje również, że samorządy nie mające zaplecza w demokratyczno-parlamentarnej strukturze ogólnopaństwowej stają się szybko narzędziem w ręku klik i władzy centralnej.

3. Być może jednak hasło samorządności, patetyczne deklaracje na temat praw człowieka i przeciwstawianie ich interesom wspólnot i organizacji mają dla Kuronia sens przede wszystkim aktualny: są programem na dziś, nie ogólnymi zasadami teoretycznymi. W takim razie należałoby im zdecydowanie przyklasnąć: samorządność i jednostkowe swobody pojęte jako przeciwstawienie się narzuconej władzy totalitarnej są hasłami i słusznymi politycznie i głęboko wychowawczymi. Jeżeli wszakże tak właśnie Kuronia rozumieć (a sędzę, że jest to rozumienie najwłaściwsze), polemika z Moczulskim jest mało potrzebna, przynajmniej w zaprezentowanej formie.

Współczesne polskie spory polityczne zwykle niestety przedstawiają jedną (lub więcej) z trzech wad: beztreściwość, zaściankowość, lub anachronizm. Ta ostatnia jest najbardziej groteskowa. Polega typowo na używaniu określeń, formuł i nazw ugrupowań politycznych, które przestały normalnie funkcjonować przed blisko czterdziestu laty. Działacze emigracyjni usiłują kontynuować dawne stronnictwa i partie; publicyści określają swoje i cudze stanowiska w kategoriach programów sprzed wojny czasem nie tylko drugiej ale i pierwszej — i wymyślają sobie wzajemnie od piśmudczyków, endeków, sanatorów i socjałów. To wyznik nienormalności naszego życia politycznego. W innych krajach Europy, nawet tam, gdzie wewnętrzne zmiany ustrojowe i gospodarcze są nieporównanie mniejsze, niż w Polsce, stronnictwa, które działały przed rokiem 1939, albo zanikły, albo gruntownie zmieniły swoje programy i używają dawnych nazw po prostu dzięki ciągłości funkcjonowania a nie ze względu na trzymanie się tych samych wytycznych. (W najmniejszym stop-

niu odnosi się to do tzw. lewicy; ale właśnie samo pojęcie lewicy musiało w Polsce i w krajach całego „oboju socjalistycznego” ulec radykalnej rewizji).

Odwrotną stroną anachronicznego tradycjonalizmu jest brak wycucia dla przemian społeczno-moralnych, zachodzących w naszym społeczeństwie — a zwłaszcza przemian szkodliwych. Z wyjątkiem nielicznych tekstów takich, jak „Rachunek naszych słabości” ogłoszony przez PPN, panuje milcząca zмова pisania niemitych rzeczy o sprawujących władzę i o przeciwnikach, natomiast wyłącznie miłych o całym narodzie. Milczy się więc np. o katastrofalnym zaniku poszanowania dla prawa, ba — o stracie zrozumienia, co to jest prawo (w odróżnieniu od konkretnych przepisów i zarządzeń). Zjawisko to trzeba niezbędnie brać pod uwagę we wszelkich rozważaniach o przyszłości naszego kraju.

Zaściankowość przejawia się nie tylko w tym, że — znowu z nielicznymi wyjątkami, jak Kisielewski lub Rowmund Piłsudski — brak nam „świadomości globalnej” powiązania naszych losów z całą resztą świata, a nie tylko z sąsiadem od wschodu, ale i w tym, że sytuację polską rozpatruje się tak, jak gdyby była pod każdym względem osobliwa. Nikt więc nie zajął się np. zbadaniem, jak walka o pieniądze państwowe między różnymi grupami nacisku wygląda w Polsce, przekształcona w walkę między resortami i klikami (na Zachodzie, gdzie wolnorynkowa gospodarka pieniężna należy też do przeszłości, zajmuje się tym tzw. socjologia fiskalna).

Z czego wynikają te przykładowo wymienione słabości myśli opozycyjnej? Głównie z braku bezpośredniego wpływu na sposoby administrowania krajem. Jest to przykład ogólnej prawidłowości: wszelka myśl opozycyjna tym mniej jest praktyczna i odpowiedzialna, im bardziej oddzielona od mechanizmów rządzenia. Ale oderwanie posiada tę dobrą stronę, że opozycja ma szansę patrzenia z większym dystansem, bez uwikłania w codzienne rozgrywki i drobiazgowy decyzje. Powinniśmy więc starać się zarówno wykorzystywać możliwości szerokich wizji, intelektualnej i moralnej perspektywy na sprawy bieżące, jaką daje odsunięcie od bezpośredniej odpowiedzialności administracyjnej — i, za przykład ostrzegawczy mając emigrację, unikać oderwania od twardych i nieprzejemnych realiów, które tenże brak odpowiedzialności powoduje.

Używam tu popularnego i wygodnego terminu „opozycja”, ale czy zasadnie? Czy istotnie mamy w Polsce „opozycję”? Działacz ROPCiO piszący pod pseudonimem Jan Kowal kwestionuje to i teoretycznie ma rację. Przez opozycję rozumie się na ogół jawne i zawarowane konstytucyjnie domaganie się zmian w sposobach rządzenia krajem. Opór polityczny w Polsce ani

nie uczestniczy w oficjalnym procesie wyłaniania reprezentacji ludności, ani nawet nie ma możliwości unormowanego dialogu z władzą. Panujący u nas system wyklucza istnienie takiej opozycji przez samą swoją totalitarną zasadę „demokratycznego centralizmu”; wszelkie proponowanie alternatyw odbywać się więc musi poza systemem. Kowal domaga się od opozycji *sensu stricto* także posiadania „koherentnego programu reform, na podstawie którego byłaby gotowa 'od dziś' przejąć władzę”. Sądzi również, że opozycje parlamentarne na Zachodzie mogą sobie pozwolić na niższy stopień szczegółowości programów działania, u nas natomiast opozycja musiałaby się określić bardzo szczegółowo. Widzę tu dwa nieporozumienia. Jedno czysto faktyczne: właśnie opozycja działająca w unormowanych warunkach parlamentarnego pluralizmu musi wypracowywać programy bardzo szczegółowe, do sprawy np. oczyszczania ścieków w jakimś Dorchesterze czy Avalon, bo tylko taka szczegółowość dostatecznie mobilizuje wyborców. Po drugie, w naszych warunkach opracowanie programów drobiazgowych jest o tyle bez sensu, że ruch oporu nie rozporządza środkami do przejęcia władzy i może prowadzić wyłącznie działalność wychowawczą, naciskową — i przygotowującą dalsze zmiany, stwarzającą możliwości na przyszłość. Ważny jest kierunek tych zmian a nie poszczególne elementy; i wpływ polityczny należy zyskiwać tak poruszaniem konkretnych bolączek i protestowaniem przeciw gwałtom jak i stawianiem przed oczyma celów, które ostatecznie chcemy osiągnąć. Natomiast decyzje tak szczegółowe, jak zawarte w wielu punktach programu „44”, muszą brzmieć groteskowo, skoro projektodawcy nie mogą opisać sytuacji, w której zaplanowane reformy miałyby szanse urzeczywistnienia.

Ludzi, którzy chcieli uwolnić Polskę od obcej dominacji i przeprowadzić w niej gruntowne reformy polityczne nazywano w końcu XVIII-go i w ciągu XIX-go wieku po prostu patriotami. I dzisiaj ta nazwa jest bodaj najbardziej adekwatna — ale się zużyła: zastosowana do przeciwników panującego w PRL systemu brzmiałaby pompatycznie i ogólnikowo. Sytuacja, w której działamy, jest tak szczególna, że wszystkie tradycyjne określenia w jakimś stopniu odstają od rzeczywistości. Dlatego lepiej może przyjąć, całkiem umownie, termin „opozycja” — zdając sobie sprawę, że pokrywa on tylko część pełnego zakresu tego pojęcia. I nie trzaskając się już o nazwy spełniać zadania, jakie stoją przed wszystkimi, którzy poczucie niezadowolenia ze stanu obecnego pragną przekształcić w pracę nad jego zmianą.

Naczelnym z tych zadań jest stałe krytyczne badanie naszej sytuacji i jej rozwoju, podejmowane pod kątem jasno określonych celów, do których się chce dążyć.

Od początku trafiamy na paradoks: o ile stan strony oficjalnie rządzącej, władz partyjno-państwowych, administracji, gospodarki narodowej, itd. nie jest, mimo braku ścisłych informacji, tajemnicą i daje się dość jednoznacznie opisać i ocenić — o tyle stan rządzonego społeczeństwa jest dla nas nieprzejrzysty, istnieją zasadnicze różnice poglądów co do nastrojów i postaw, a zwłaszcza gotowości do solidarnych poczynań. Znamy więc siły i możliwości przeciwnika — nie znamy własnych. Stąd jedni publicyści opozycyjni skłonni są uważać społeczeństwo za zjednoczone w oporze, przynajmniej biernym; inni, jak np. Marek Turbacz, twierdzą, że jest ono pogrążone w marazmie i zniechęceniu.

Obie te diagnozy są uproszczeniami. Czym innym bowiem jest marazm polityczny znacznej części inteligencji technicznej i np. lekarzy, wynikający z niechęci do ryzykowania własnej stosunkowo uprzywilejowanej pozycji ekonomicznej, czym innym zaś nieufna, wroga ustrojowi bierność chłopów czy większości robotników. Inteligencja, od przeszło stu lat najbardziej aktywna politycznie warstwa naszego społeczeństwa, została nieco przedwcześnie spisana na straty (np. przez Aleksandra Gellę i Jana Drewnowskiego). Ofiarne ugrupowania opozycyjne ostatnich lat wywodzą się ze środowisk inteligentkich i do ich tradycji nawiązują. Z drugiej strony właśnie inteligencja jest, w skali ogólnokrajowej, warstwą nie tylko najbardziej bierną, ale najmniej chętną do udziału w aktywnym (choćby myślowo) oporze i najczęściej kolaborującą z reżymem. Nastąpiło więc, z różnych powodów, rozbitcie ideowe tej warstwy.

Nie jest natomiast prawdą, jakoby owi inteligenci „wicherzyciele” — jak ich nazywa oficjalna propaganda — sami wywoływali fermenty i uczucie niezadowolenia społecznego. Wyrażają oni nastroje i aspiracje ogromnie rozpowszechnione — tyle, że wyrażają je sposób czynny i widoczny. Aktywni opozycjoniści usiłują znaleźć wyjście z obezwładniającego Polaków paradoksu: społeczeństwo nie wierzy w możliwość „naprawienia” systemu i jest skłonne poprzeć tylko zmianę całkowitą — ale nie wierzy również w bezpośrednią możliwość takiej fundamentalnej zmiany, więc skłania się do cynicznej lub desperackiej bierności.

Dodatkowym czynnikiem wpływającym na pasywność jest podejrzenie, iż władze dobrowolnie i dla własnych celów tolerują istnienie opozycji. Jak to ostro sformułował Jan Kowal, „fakt istnienia w PRL kilku nie uznawanych przez władze ugrupowań oporu społecznego jest efektem świadomej taktyki przyzwalającej... Przekonanie, iż władze ustępują, bo muszą, byłoby wnioskiem fałszywym”. Jednakże przeciwstawienie „ustępowania” — „przyzwalaniu” jest tu naciągane: jeżeli władza przyzwalała na coś, czego w zasadzie wołałaby nie tolerować, to takie przyzwo-

lenie nie jest w istocie dobrowolne. W jakim stopniu przymus ustępstw wywołany jest stosunkami z zagranicą (potrzeba kredytów) a w jakim napięciem w kraju (obawa przed jutrzenką opinii publicznej i stwarzaniem męczenników), to rzecz dyskusyjna i bardzo trudna do rozgraniczenia, bo zagraniczne kredyty są konieczne również po to, aby zachować jaki-taki spokój w kraju. Zgadzać się więc z ostrzeżeniami Kowala, że o ile „wymuszenie” daje możliwość eskalacji żądań, to „przyzwolenie” może ustać z godziny na godzinę, a do wywołania fali represji wystarczy jakakolwiek prowokacja — nie trzeba przypisywać władzom pełnej swobody wyboru metod postępowania, ani też rezygnować z wpływu na rozwój wydarzeń przez wykorzystywanie trudności reżymu dla rozszerzania marginesu tego, co musi tolerować, jeżeli chce uniknąć wewnętrznej i zewnętrznej konfrontacji. Czy ustępstwa nazwiemy wymuszonymi, czy też uzyskanymi dzięki sprzyjającym okolicznościom — najistotniejsze jest, że nie osiągnie się ich bez wywierania nacisku.

Problem: czy i jak działać, jeżeli ustroj jest nienaprawialny; czy i jak wpływać na zmiany systemu, skoro nie da się on zreformować (bo każda reforma istotna musi przynieść likwidację systemu) jest nierozwiązalny, jeżeli się go postawi ostro i sztywno. Należałoby sformułować go inaczej. Czym innym jest rewizjonistyczne marzenie, że system naprawi się od wewnątrz, oczyści, przybierze „ludzką twarz” — czym innym zaś popychanie go do zmian i ustępstw, do których musi się jakoś przystosować. Dziś do pierwszej możliwości nikt już zaufania nie ma, nikt nie liczy na to, że system „się” uzdrowi. Natomiast jak definiować procesy drugiego typu, tym niech się trochę partyjni teoretycy. Nie należy do typowych cech ustroju ani prywatne rolnictwo, ani tolerowanie roli Kościoła, ani wprowadzanie wewnętrznego rynku wolnodewizowego, ani rozwijanie na wielką skalę inwestycji, finansowanych przez zachodni kapitał, ani łatwość wyjazdów za granicę, ani popieranie prywatnego rzemiosła czy agencji handlu. Chociaż nie zmieniają one podstaw systemu, czynią go bardziej podatnym na dalszą ewolucję — niezależnie już od tego, że walcie wpływają na sposób życia obywateli. Nie można z góry założyć, jakie są granice przystosowalności systemu do nacisków (wewnętrznych i zewnętrznych) i nie trzeba z nich z góry rezygnować dla teoretycznych powodów. To prawda, że „wolność jest niepodzielna” a suwerenność ograniczona nie jest wcale suwerennością, ale to są stwierdzenia dotyczące ideałów, wartości i celów ostatecznych. Postawa „wszystko albo nic” zajmowana nie wobec pryncypiów ale wobec konkretnego działania daje w rezultacie beczynność i beżużyteczność, czekanie z założonymi rękami na chwilę, kiedy ktoś nas uwolni równocześnie i od

ZSRR i od rodzimej partii (i kiedy okaże się że nie umiemy sobie z tą nową sytuacją poradzić).

Przez z górą wiek państwowego niebytu zasadnicze pytanie, postawione natychmiast po ostatnim rozbiórce, brzmiało: „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?”. Jak wykazały lata 1918-20 było to pytanie prawidłowe, bo istnienie kadry wojskowej odegrało wówczas decydującą rolę w odzyskaniu i utrzymaniu niepodległości.

W latach 1944-45 narzucono nam przemocą niechciany ustrój i krępującą obcą dominację. Okazało się wówczas, że dawne pytanie w obecnej rzeczywistości sensu nie ma i że w każdym razie Polacy sami, własnymi tylko siłami, stanowienia o sobie odzyskać nie mogą. Zapanował od tej pory w myśleniu o przyszłości naszego narodu mroczny i jałowy zamęt.

„Realści” polityczni doby rozbiorowej, zalecający różne formy „pracy u podstaw” i kompromisów z zaborcami, przeciwstawiali się „romantekom”, dla których wolność była sprawą kolejnego zrywu narodowego. Możliwość odzyskania niepodległości była dla obu stron przedmiotem konkretnych dyskusji, ważenia na szalach sił i koniunktur; jej wizja wchodziła w skład narodowej świadomości. Nawet kiedy się ją określało jako „mrzonkę”, była to mrzonka do której drogi dawały się realnie wytyczać.

Przez kilka lat po drugiej wojnie służy się jeszcze po świecie upiornie-bałamutne myśli o trzeciej „światówce”. Wybuch globalnego konfliktu, który zagroziłby ziemskiej cywilizacji, jako sposób na wyjście Polski spod komunistycznej dominacji okazał się jednak możliwością zbyt przerażającą, aby ją rozważać w ramach jakichkolwiek rzeczowych planów. Od tej pory szamocemy się między tymczasowością a ogólnikami. Słowa o niepodległości są zwykłe deklaracjami, nie wiążącymi się z żadną określoną wizją, żadną prognozą historyczną. Wśród ugrupowań krajowych, z których jawnie działające muszą na ten temat stosować dyskretnie uniki, jedynie PPN wskazał ogólnikowo na narastające w ZSRR i jego satelitach (czy dominiach) procesy mogące w przyszłości doprowadzić do rozpadu imperium. Stefan Kisielewski, przeciwnie, zapowiada, że wobec postępującej degrengolady Zachodu trzeba się liczyć z międzynarodowym tryumfem Moskwy i komunizmu. Przedstawiciele emigracyjnych ugrupowań wypowiadają mnóstwo niekonkretnych pobożnych życzeń, wśród których jest i niepodległość, i demokracja. Niektórzy „narodowcy” straszą jednak, że próby nacisku na Rosję muszą się skończyć katastrofą, że opozycja w Polsce to działanie na rzecz

interesów amerykańskich lub syjonistycznych, itp. banialuki. Choć panowie ci opowiadają się również za suwerennością itd., starannie zamykają wszystkie do niej drogi z wyjątkiem chyba aktu Bożej sprawiedliwości. Podobny efekt ma fanatyczny antykomunizm Józefa Mackiewicza, potępiającego wszelkie inne metody działania poza frontalną konfrontacją, którą nie wiadomo kto ma przeprowadzić (i przeżyć).

Celem poniższych rozważań nie jest snucie przepowiedni, ale sugerowanie, że o rzeczowe hipotezy prognostyczne na przyszłość bliższą i dalszą warto się kusić; i że, zdając sobie sprawę z ograniczonego naszego wpływu na bieg wydarzeń o większej skali nie musimy go traktować fatalistycznie.

Jakie powinny być wytyczne zastanawiania się nad perspektywami i możliwościami polityczno-gospodarczymi naszego kraju? Niektóre wbito nam w mózg i skórę: dominacja ZSRR, brak granicy z Zachodem, „groźba” niemiecka, interesy aparatu partyjno-administracyjnego, który nie zechce dobrowolnie odstąpić ani cząsteczki władzy, naiwny cynizm demokracji zachodnich i ich niechęć do „awantur”. Ale nie musimy tych danych traktować jako niezmiennych. Należy je stale poddawać nowym analizom i badać w świetle innych, nie mniej ważnych choć nie tak rzucających się w oczy czynników.

Przede wszystkim musimy pamiętać, że chociaż szczególnie położenie geopolityczne narzuca nam patrzenie na świat w kategoriach sztywnych i trwałych, współczesna rzeczywistość polityczna i ekonomiczna jest niebywale płynna. Zmiany w międzynarodowym rozkładzie sił, dokonane w ciągu ostatnich lat trzydziestu, są olbrzymie, a ich proces bynajmniej się nie zakończył. Zwielokrotnienie ośrodków decyzji politycznych, dotyczących bezpośrednio jednego kraju ale mających wpływ na kontynenty, jest zjawiskiem w historii niebywałym. Wydarzenia w Wietnamie, Portugalii, Angoli czy Somali, na zupełnych peryferiach stref oddziaływania wielkich potęg, mają ogromny wpływ na całą sytuację światową i chociaż najistotniejsze jest, co w każdym wypadku uczynią supermocarstwa, coraz częściej przekonują się one, że nie mogą rozstrzygająco wpływać na lokalny bieg wydarzeń (Rosjanie wyrzuceni z Egiptu, Amerykanie tracący grunt w Turcji, itd.).

Skomplikowanie świata idzie w parze ze stałym wzrostem liczby napięć regionalnych, wynikających tak z pobudek politycznych, jak i gospodarczych (narastająca konfrontacja krajów ubogich i bogatych). Wiadomo powszechnie, że ZSRR, chociaż jest państwem bogatym i wysoko uprzemysłowionym, nie chce pomagać krajom rozwijającym się, wykorzystuje natomiast każdą okazję do jątżenia przeciwko Zachodowi. Działa więc świadomo-

mie jako czynnik destabilizujący. Dotychczas dawało to na ogół rezultaty dla ZSRR dość pomyślne, ale taka taktyka stawia Sowiety z konieczności w opozycji do wszystkich krajów rozwiniętych i zamożniejszych, które na rozbudowywaniu konfliktów mogą *per saldo* tylko stracić. Jest rzeczą znamionną, że z wyjątkiem zwiariowanej Libii bogate kraje arabskie, mimo konfliktu z Izraelem, trzymają się bliżej państw Zachodu niż ZSRR; to samo dotyczy wszystkich innych krajów o szybkim wzroście poziomu gospodarczego. Niezależnie od tego, czy chcą one po prostu korzystać ze swojej zamożności, czy też dzielić się nią z innymi, obawiają się destabilizacji. W wyniku tej ogólnej prawidłowości, której mechanizmu nie możemy tu głębiej analizować, izolacja polityczna ZSRR będzie się w przyszłości zapewne powiększać (starają się o to również Chiny). Aby ten proces odwrócić, Sowiety musiałyby albo zaprzestać politycznego współzawodnictwa z krajami demokracji zachodniej, albo też zmienić metodę swojej polityki zagranicznej i wysłać nie broń i Kubańczyków, ale pszenicę, traktory i pieniądze — a na to ich nie stać. Nie stać nie tylko ekonomicznie.

Socjolog amerykański Daniel Bell pisze o współczesnej „rewolucji rosnących uprawnień”, która ogarnia cały świat. Coraz szersze kręgi ludności uzyskują możliwość kształcenia i dorabiania się; grupy ludności dawniej upośledzone stają się przedmiotem specjalnych zabiegów wyrównujących; związki zawodowe odgrywają coraz większą rolę gospodarczo-społeczną; wzrosły dramatycznie swobody indywidualne, prawa kobiet i tolerancja wobec różnych stylów i sposobów życia; podobnie jak wzrosły wydatki na usługi społeczne i cele publiczne. Analogiczną rewolucją w dziedzinie stosunków międzynarodowych jest usamodzielnienie się dużej liczby krajów dawniej zależnych oraz skuteczne domaganie się przez nie coraz znaczniejszych uprawnień gospodarczych i politycznych. Chociaż prawa jednostek są w wielu państwach pokolonialnych surowo ograniczane przez autokratyczne reżymy, mamy w tych krajach do czynienia z przejęciem uprawnień decyzyjnych przez ludzi, do niedawna pozbawionych głosu w rządzeniu. Ogólna tendencja światowa do upowszechniania uprawnień jest więc w tych krajach hamowana, ale nieodwracana.

Ta sama tendencja występuje oczywiście i w ZSRR i w krajach obozu moskiewskiego, ale podczas kiedy na Zachodzie jest popierana lub przynajmniej tolerowana — tu jest tępiąca i tłumiona przemocą. Dlatego też w swoich stosunkach z zagranicą ZSRR będzie zapewne napotykał coraz większe trudności socjopsychologiczne. Można trzymać żołnierzy radzieckich zamkniętych w koszarach w Polsce, aby nie ulegli zmierzającym i demoralizującym (czyli oświecającym) wpływom. Próba skutecznego pe-

netrowania państw trzeciego świata pociągnęłaby za sobą konieczność wystawiania tysięcy obywateli radzieckich na życie w krajach politycznie znacznie swobodniejszych, niż ich własny. Tylko w warunkach odcięcia od informacji o innych systemach społeczno-politycznych ludzie nie zadają sobie pytania, czy dokuczliwe cechy ich systemu są rzeczywiście niezbędne. Możliwość zestawienia nie musi powodować potępienia czy odrzucenia własnego ustroju, nawet jeśli się go uważa za wadliwy, dopóki ustrój ten potrafi jakoś uzasadnić swoją użyteczność. Ale wobec tego, że ustrój, stosunki społeczne i obieg dostępnych informacji w ZSRR stają się w zestawieniu z resztą świata coraz bardziej anachroniczne, uzasadnienie takie będzie się stawało coraz trudniejsze. Faktu, że polityka zagraniczna ZSRR jest dla tego państwa ogromnie kosztowna a nie przynosi namacalnych korzyści obywatelom (nawet w formie możliwości podróżowania po świecie) nie da się wiecznie ukrywać przed ludnością, dla której problemem jest nadal zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych. Trzeba będzie częściej sięgać po hasła nacjonalistyczno-imperialne, które przemawiają do wielu Rosjan, ale muszą pogłębić ich izolację we własnym kraju i za granicą.

Sfery rządzące ZSRR stale zaciemniają długoterminowe perspektywy swego państwa — w tym sensie, że stopniowo ograniczają i tak niewielkie szanse przewyżczenia zasadniczych trudności strukturalnych, wynikających z faktu, że ZSRR jest ostatnim mocarstwem kolonialnym naszego wieku, że ma absurdalny system zarządzania ekonomią, zacofane i niewydajne rolnictwo, skrzepowaną naukę, nierównomiernie i z opóźnieniami rozwijającą się technologię, że od początku istnienia musi eksportem surowców opłacać import nowoczesnego sprzętu, itd. Aby wybrnąć z trudności gospodarczych należałoby przeprowadzić gruntowne reformy administracyjne i polityczne; reformy te spowodowałyby pełniejsze ujawnienie się tendencji odśrodkowych; ich rozwój doprowadziłby zapewne do krwawej wojny domowej albo do rozpadu imperium. Ale im dłużej się reform nie przeprowadza tym groźniejsze powstają wewnętrzne napięcia socjalne i narodowe, i tym jaskrawiej wychodzą na jaw różnice między ZSRR a innymi krajami o podobnym poziomie cywilizacyjnym. Trzeba dodać i tę obserwację, że im wyższy stopień rozwoju gospodarczego i technologicznego jakiegokolwiek kraju, nawet pozornie najbardziej samowystarczalnego ekonomicznie, tym ściślej i wszechstronniejsze jego powiązania z gospodarką ogólnoswiatową. Gospodarka ta w coraz większym stopniu poddawana jest dyktandom zapotrzebowania i oczekiwań (a nie, jak dawniej, podaży). Jeszcze trzydzieści lat temu planiści sowieccy mogli projektować produkcję wedle tego, co mieli do rozporządzenia i tego, co

chcieli, zgodnie ze swoimi założeniami, uzyskać; dzisiaj w coraz większym stopniu muszą planować wedle tego, czego się od nich spodziewa ludność, zaś na oczekiwania obywateli radzieckich coraz bardziej, choćby z opóźnieniem, wpływać będzie to, czego chcieli i co otrzymali Amerykanie, Finowie, Brazylijczycy czy Jugosłowianie. Prawdopodobnie ryzyko wybuchu konfliktu zbrojnego, ograniczonego lub nawet światowego, wywołanego przez agresywną ekspansję sowiecką będzie malało, natomiast wzrastać będzie niebezpieczeństwo wojny wywołanej właśnie przez rosnący anachronizm ZSRR, przez nieprzystosowanie tego państwa do reszty współczesnego świata, co może spowodować odruchy paniczne u kierownictwa partyjnego.

Naszkicowane tu procesy dotyczą rzecz jasna także całej Europy Wschodniej. Jest ona znacznie bardziej, niż ZSRR, podatna na wpływy i naciski międzynarodowych trendów obyczajowych, gospodarczych i politycznych. Można więc przypuścić, że tendencja do upodmiotowania politycznego państw satelickich, do rozszerzania przez nie zakresu decyzji nie podlegających pełnej kontroli sowieckiej, będzie się w przyszłości częściej ujawniać. Potrzebne są do tego dwa warunki dodatkowe: względna stabilizacja wewnętrzna w danym kraju (rozgrywki międzyfrakcyjne osłabiają siłę przetargową każdego politbiura) oraz względna jasność w personalnym układzie sił na Kremlu (obecny stan oczekiwania na odejście Breżniewa i walkę o jego następstwo powstrzymuje inne partie od jakichkolwiek bardziej przedsiębiorczych poczynąń czy roszczeń).

Zwróćmy wzrok w drugą stronę. Nie dotarło jeszcze do świadomości Polaków, że nasza międzynarodowa pozycja gospodarcza, a także i polityczna, uległa w ostatnim ćwierćwieczu ważnej poprawie. Jest to poprawa w tej chwili tylko potencjalna, ale zasadnicza. Dzięki węglowi jesteśmy, obok Norwegii, jedynym krajem Europy który jest i będzie mógł długo pozostać eksporterem energii. Ponieważ zasoby energetyczne są kluczowe dla gospodarki każdego kraju i jego roli w ekonomice międzynarodowej, rozporządzamy (potencjalnie!) kartą bardzo silną. Najlepiej pasuje ona do gry ze Wspólnotą Europejską, dla której stanowić możemy coraz cenniejszego partnera. Powstanie Wspólnoty jest drugim czynnikiem, wyraźnie polepszającym naszą sytuację. Niemcy jako część zjednoczonej Europy muszą zatracać możliwość agresywnej polityki zagranicznej (nawet gdyby ją chciały wznowić); zanik ostrej rywalizacji między państwami Zachodu może nam ułatwiać znalezienie w nich sprzymierzeńców. Co jeszcze istotniejsze, kiedy Wspólnota Europejska rozszerzy się o Hiszpanię, Portugalię i Grecję, Polska stanowić będzie dla niej potencjalnie wartościowe uzupełnienie zarówno ekonomiczne

(zmniejszyla by deficyt energetyczny) jak polityczne (wzmocniłaby państwa średnie w ich dialogu z Niemcami, Francją i Anglią)**. Ścisłejsze związki Polski ze Wspólnotą otworzyłyby oczywiście nowe perspektywy dla zjednoczenia Niemiec (w ramach Wspólnoty); byłyby też po myśli Stanów Zjednoczonych z którymi nie mamy żadnych sprzecznych interesów ekonomicznych ani politycznych, lecz przeciwnie — więzy tradycyjnej przyjaźni.

Brzmi to wszystko jak fantastyczna bajka. Nie prorokuję jednak, tylko twierdzę, że taki rozwój wydarzeń jest możliwy i że tę możliwość należy brać pod uwagę. Nie sugeruję również, że kraje Europy Zachodniej będą skore do poniesienia jakichkolwiek ofiar czy ryzyka na naszą korzyść; stwierdzam tylko, że nasze bliskie związki ze Wspólnotą Europejską, nawet wejście w jej skład, leżą w interesie wszystkich zainteresowanych — wyjąwszy ZSRR. I twierdzę także, iż przeciwstawianie się tym zgodnym interesom może się na bardzo długą metę okazać dla ZSRR nieopłacalne lub wręcz niewykonalne. (*Nota-bene* przypomnijmy, jak nasza cenzura tępi pozytywne informacje na temat Wspólnoty, którą wolno określać tylko jako „Wspólny Rynek”).

Trzeba brać pod uwagę także i ten czynnik, że USA muszą w swojej światowej rozgrywce z Sowietami kierować się rachunkiem: gdzie można znaleźć sprzymierzeńców, lub gdzie można osłabić front przeciwnika kosztem najmniejszych nakładów i najniższego ryzyka? (Czasy nieliczenia się z kosztami minęły bezpowrotnie). Terenem takim jest oczywiście Europa, włączając Europę Środkowo-Wschodnią. Niektórzy publicyści emigracyjni, jak Jędrzej Giertych, też to zauważają — i nawołują do zaniechania w kraju wszelkiej aktywności opozycyjnej, bo jest ona rzekomo sztucznie podsycana przez Amerykanów (i oczywiście Żydów!) dla ich własnych celów. Pomijając już drobny a widać nie zauważony przez sędziwego endeka fakt, że Polacy doprawdy mają własne powody do konfliktu z sowiecką i rodzimą partyjną dominacją; a również i to, że oficjalne władze amerykańskie wykazywały dotychczas minimalne zrozumienie dla polskiej działalności opozycyjnej i starały się do niej raczej zniechęcać niż zachęcać — powiedzieć trzeba, że interesy polskie są w tej chwili w znacznym stopniu zbieżne z amerykańskimi i że z tej zbieżności powinniśmy starać się skorzystać. Nie dając się sprowokować do aktów nierozumnej rewolty (do której nikt nas zresztą, z wyjątkiem niekiedy organów bezpieczeństwa, nie podburza), powinniśmy po prostu dążyć do podnoszenia kosztów utrzymania

** Nie zapominam o głębokim kryzysie, jaki w tej chwili Wspólnota przeżywa. Ale sądzić wolno, że uświadomienie sobie katastrofy gospodarczej, jaką spowodowałaby jej rozpad, pozwoli ten kryzys przetrwać; zaś proces integracji politycznej, choćby bardzo powolny, powstrzymać się nie da.

Polski w pozycji moskiewskiego satelity. Skoro interesują się nami dwa supermocarstwa, należy dążyć do tego, by się licytowały. Jedno trzyma nas pod butem; w interesie drugiego jest nasze wysłiznięcie się spod tego buta; nie doprowadzając do wybuchów powinniśmy się pod butem wiercić.

Ale co z Niemcami? Czy nie stanowią oni groźby większej, niż Rosja? Ci wszyscy, którzy w dobrej lub złej wierze straszą nas ciągle teutońskim odwetem, powołują się nie tyle na teraźniejszość, ani na przewidywania przyszłości, ale na doświadczenie historyczne. Niezbyt słuszne. Istniejących nadal w RFN tendencji rewizjonistycznych nie wolno nam nie zauważać i lekceważyć — ale przyjrzenie się historii musi prowadzić do wniosku, że chociaż okresami Niemcy groziły nam śmiertelnie — na długą metę od wieku XVII począwszy głównym niebezpieczeństwem była Rosja. Z tego prostego powodu, że w konflikcie z nią trudniej albo zgoła niemożliwe było znaleźć sprzymierzeńców. Przekonaliśmy się o tym dotkliwie w roku 1920 i 1945. Dotychczasowe doświadczenia wskazują również, że większe są możliwości ewolucji i pozytywnych zmian w stosunkach polsko-niemieckich, niż polsko-rosyjskich.

Myśląc o przyszłości nie należy też zapominać prostej prawdy, o której pisał kiedyś Juliusz Mieroszewski, iż naszym wschodnim sąsiadem nie jest naród rosyjski, ale narody ukraiński, białoruski i litewski. Przypominanie o tym i wyrazy sympatii dla aspiracji kulturowych i politycznych tych narodów, obecnie rusyfikowanych i pozbawionych autonomii, wywołują u niektórych „narodowców” emigracyjnych historyczny lęk i protesty, że oto znowu wskrzesza się idee federalistyczne albo chce wyzwalać krwią Polaków narody ZSRR. Jest to potrójny absurd. Po pierwsze — wszelkie dążności usamodzielniające wśród ludów, podległych dziś moskiewskiej dominacji, mogą tylko ułatwić Polakom rozszerzanie marginesu państwowych i narodowych swobód; po drugie udawanie, że się tych dążności nie zauważa lub wręcz przeciwstawianie się im jest pozbawianiem się nie tylko potencjalnych sprzymierzeńców, ale i moralnego prawa do wysuwania własnych roszczeń; po trzecie wreszcie w dzisiejszej sytuacji korzystamy tylko z wewnętrznych kłopotów, jakich przysparza Kremlowi opór naszych sąsiadów przeciwko rusyfikacji — nic im bowiem sami pomóc nie możemy.

Jan Drewnowski ogłosił kilka lat temu w *Kulturze* cenny artykuł o możliwości zmian ustrojowych w Polsce pt. „Jedyna droga”. Chociaż charakteryzował tę „jedyną drogę” (poprzez nacisk społeczeństwa, wywołany wewnętrznymi sprzecznościami systemu) bardzo ogólnikowo, co dopuszcza możliwość odmian postępowania — szkodliwe wydaje mi się samo hasło „jedyności”.

Różne mogą się nasuwać okazje zasadniczych zmian i wyzwolenia, różne możliwości, do których się trzeba rozmaicie przygotowywać. Słuszne odrzucenie koncepcji zbrojnego powstania albo masowego spisku, przygotowującego przewrót, nie powinno prowadzić do rezygnacji z wielu innych sposobów działania, jawnego i tajnego. Ich wielorakość zwiększa nasze szanse — pod warunkiem, że zwolennicy rozmaitych metod nie będą się wzajemnie zwalczać.

To samo dotyczy zwolenników różnych wizji przyszłości, perspektyw i taktyk, którzy powinni zwracać uwagę przede wszystkim na wspólnotę celów ostatecznych, a nie na szczegółowe różnice. Niechże wszyscy zwolennicy wolności Polski myśleć o wspólnym przeciwniku, który nas wolności pozbawia — a nie tracą siłę i czasu na podgryzanie się wzajemnie. Niechże wszyscy zwolennicy demokracji uważają za obowiązek pierwszy wspólną walkę o jej zdobycie — a nie krytykowanie tych, którzy się od nich różnią w poglądach na idealny model ustroju.

Dróg jest wiele. Różne są sposoby przygotowania gruntu pod lepszą przyszłość: samokształcenie polityczne i nauka samorządności; budowanie porozumienia między grupami społecznymi i środowiskami; uświadamianie opinii zagranicznej i torowanie dróg międzynarodowemu (a nie tylko międzyrządowemu) porozumieniu i zbliżeniu — w różnych kierunkach; wychowywanie ludzi, którzy potrafią przejąć stanowiska kierownicze i przywódcze; wykorzystywanie istniejących możliwości dla rozwoju autentycznej kultury i nauki; przypominanie i odnawianie skośnionego poczucia godności narodowej. Można domagać się respektowania obowiązujących praw i przywilejów obywatelskich — albo starać się o prawa lepsze; można na różnych stanowiskach chronić to, cośmy osiągnęli lub ocalili — albo dążyć do rozszerzenia zakresu swobód i uprawnień; zachowywać bezkompromisowość absolutną — albo dyskretnie, bez oficjalnego żyrowania, popierać liberalno-patriotyczne tendencje w aparacie rządzącym; kłaść nacisk na osiągnięcia bezpośrednie i szybkie — albo wpajać wizje ideałów docelowych.

Najistotniejsze jest, abyśmy mieli świadomość, że wiara w Polskę niepodległą i demokratyczną nie musi być wiarą w cuda — i abyśmy sobie w dążeniu do niej różnymi drogami nie przeszkadzali.

SOCJUSZ